

Polańskim nie jestem, choć bardzo bym chciała

Klara Kochańska za swój dyplomowy film otrzymała brązową statuetkę studenckiego Oscara. - To nie jest kino moralnego niepokoju - mówi o „Lokatorkach”, komentując opinię, że czuć w nich „klimat Kieślowskiego”. - Ale etyczną rozkminkę można tam znaleźć - dodaje. Klara przyznaje się raczej do inspiracji filmami Polańskiego. I rzeczywiście, jej dyplom w podobny sposób opowiada o ludziach w opresyjnej sytuacji na niewielkiej przestrzeni - z nieco cynicznym dystansem, ironią i czarnym humorem.

Ta półgodzinna fabuła opowiada historię Justyny, samotnie żyjącej trzydziestoparolatki (Julia Kijowska), która na aukcji komorniczej kupiła upragnione mieszkanie. Gdy bohaterka chce się wprowadzić, okazuje się, że poprzednia lokatorka się nie wyniosła. Marzenia o własnym kącie zamieniają się w koszmar. Justyna ze swoimi rzeczami w kartonach ląduje osaczona w ciasnym pokoju, dzieląc mieszkanie z dziwną kobietą (Beata Fudalej), jej upośledzoną umysłowo córką (Diana Zamojska) i kotem. Sytuacja absurda - nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. Nam śmiech więźnie w gardle, bo trudno zapomnieć, jak często w podobną groteskę zamienia się prawdziwe życie.

Klara Kochańska po mistrzowsku rozgrywa relacje między oponentkami - obydwie są postaciami niejednoznacznymi, obie mają swoje racje, poczucie krzywdy, obydwie cierpią, szamoczą się, postawione w sytuacji bez wyjścia. Reżyserka, mnożąc tragikomiczne zderzenia, operując obrazem potęgującym odczucie ciasnoty i natrętnym dźwiękiem (jęki upośledzonej, przedwojenny szlagier o miłości), buduje atmosferę przytłoczenia, zaszczucia, szalonego transu. Jednocześnie wszystko jest podszyte ironią, jakby śmiech był dla widza jedyną obroną przed tym absurdem, który (także dzięki świetnej grze aktorskiej) w szerszym planie zyskuje wymiar metafory stosunków międzyludzkich, empatii, egoizmu, dążenia do szczęścia i rozmaitych wyobrażeń na temat tego szczęścia.

Podczas spotkania z widzami tłumnie przybyłymi na pokaz „Lokatorek” w Muzeum Kinematografii Klara Kochańska mówiła o swoim filmie dyplomowym, pobycie w Los Angeles, o kolejnych projektach i wrażeniach po zderzeniu z realiami przemysłu filmowego w Polsce:

Kasper Bajon przyszedł do mnie z pomysłem scenariusza opartym na prawdziwej historii. Już wtedy wiedziałam, że to się będzie dobrze pisało, że się dobrze rozwinie, że ma potencjał metaforyczny, że to interesujący i aktualny temat polityczno-społeczny.

Cały pion produkcyjno-kreatywny pracujący przy „Lokatorkach” to same kobiety (Zuzanna Pyda - zdjęcia, Anna Marzęda - scenografia, Patrycja Fitzet - kostiumy, Anna Małgorzata Kasińska - kierownictwo produkcji), łącznie z aktorkami w głównych rolach. To nie było moje założenie. Tak wyszło, że stworzyłyśmy babiniec. Aż dziwnie to wyglądało, gdy spotykałyśmy się, żeby porozmawiać o filmie, ale dobrze nam się pracowało - wszystkie są zdolne i komunikatywne.

Obsada

Bardzo chciałam pracować z Julią Kijowską, bo uważam, że to jest najzdolniejsza aktorka swojego pokolenia, ale nie wykorzystana w filmach o potencjale surrealistyczno-komicznym. Obsadzana jest zwykle w rolach psychologicznych. Całe szczęście, że scenariusz jej się bardzo spodobał.

Do roli matki długo szukałam odpowiedniej osoby. Chodziło o specyficzną dwulicowość tej postaci, niejednoznaczność. Nie chciałam, żeby była ofiarą, taką typową kobietą z nizin społecznych, która cierpi przez swój los. Ani też, żeby była przebiegłą, mroczną postacią. Beata Fudalej już przez swoją fizjonomię jest dwojaka, mieni się. Bałam się jednak, bo ona bardzo mało gra w filmach, jest bardzo wymagająca w stosunku do młodych ludzi, pracuje w krakowskiej szkole teatralnej i podobno zderzenie z nią może być brutalne. Całe szczęście nic strasznego się stało, wręcz przeciwnie.

Dianę Zamojską do roli córki wyłoniłam w castingu. Wcześniej zastanawiałam się, czy nie wziąć osoby, która jest upośledzona, ale uznałam, że to będzie za duży koszt. To jest rola trzecioplanowa, a dla takiej osoby byłaby zbyt dużym wyzwaniem pod względem również emocjonalnym. Diana skończyła Warszawską Akademię Teatralną i wykazała dużo własnej inicjatywy, żeby do tej roli się przygotować. Na próby przynosiła dużo własnego doświadczenia, o które sama się postarała.

Festiwale

Prosto z postprodukcji wysłałam ten film na Warszawski Festiwal Filmowy, gdzie zawsze ponosiłam klęskę. Mieliśmy szczęście, że międzynarodowe jury dało nam Grand Prix. To pomogło. Szkoła ma bardzo dużo swoich filmów, więc inwestuje w te tytuły, które już coś zdobyły, czeka na pierwszą nagrodę. Wtedy robi plakaty promocje i zaczyna film wysyłać na festiwale. Po warszawskim festiwalu szkoła dużo zainwestowała w „Lokatorki”. Krakowska Fundacja Filmowa, która promuje polskie filmy za granicą, też wzięła ten film. Tak się zaczęła jego podróż po świecie. Szkoła nas wysłała i do Chin, gdzie w Hongkongu zdobyliśmy dwie nagrody, i do Karlowych Warów. Krzysztof Brzezowski (szef promocji Szkoły Filmowej w Łodzi) zdecydował, żeby „Lokatorki” wysłać na studenckie Oscary, o których wcześniej nawet nie słyszałam. I wyszła z tego straszna afera.

Żaden festiwal nie przyniósł takiego rozgłosu temu filmowi, a tu nagle telefony się urywają, wywiady, prasa. To dla mnie pierwsze takie doświadczenie, zastanawiałam się jak się zachować. Czy mam z tego korzystać? Uznałam, że jest okazja, żeby poopowiadać o moich przyszłych projektach. To był taki moment, że dostałam głos, zaczęto mnie traktować poważnie, a jeszcze przed chwilą byłam tylko studentką i nikogo nie interesowałam. Tym bardziej że tą samą ekipą planujemy dalej pracować i w lipcu skończyliśmy zdjęcia do fabuły - zupełnie niezależnego projektu za zero kasy. Wykorzystałam ten cały szum, żeby racjonalnie o tym mówić.

Los Angeles

Pobyt w Stanach był niesamowity. Splendor na studenckiej gali jest tylko troszkę mniejszy niż na głównych Oscarach. Niełatwo odnajduję się w takich sytuacjach. Były: galowy strój, ścianka i wywiady, i nagle trzeba było się ze wszystkimi przyjaźnić i sprzedawać swoje nowe pomysły, ale całe szczęście można też było pojechać na surfing.

Organizatorzy wozili laureatów - młodych filmowców - po różnych domach produkcyjnych w Hollywood. Myślę, że to miało większe znaczenie dla Amerykanów. Ja nie mam szans, żeby tam przez lata budować karierę. Musiałabym raczej dostarczyć im gotowy produkt, który mógłby ich zainteresować, ale co dalej - nie wiem. Spotkałam się z wiceprezeską dużej wytwórni, której logo widzujemy w czołówkach amerykańskich filmów. Przedstawiłam jakieś swoje pomysły, jeden jej się nawet spodobał. Może coś z tego będzie, a może nie.

Widzowie

Największa różnica w odbiorze „Lokatorek” jest pomiędzy Polską a innymi krajami. Publiczność międzynarodowa często śmieje się na tym filmie i ja też chciałam, żeby to, co jest tam trudne było

również ironiczne, trochę cyniczne. Z przyjęciem tego polska publiczność ma kłopot. Nasz widz często porównuje film z rzeczywistością, zadając sobie pytanie, czy to rzeczywiście mogło się wydarzyć. Nie chciałam, żeby to było realistyczne, ale to dla Polski jest bolesny i aktualny temat. Za granicą tego w ogóle nie ma. Tam widzowie czytają warstwę fabularną, metaforyczną, międzyludzką. Kiedy pechowej bohaterce przydarzają się różne wypadki, pękają ze śmiechu. Mają większy dystans do tego, co bolesne. W Chinach mi powiedzieli, że ten film pokazuje sprawy wstydlive. A w Hollywood – tam niemal wszyscy mają polskie korzenie – interesowało ludzi to, jak ten film łączy przeszłość z teraźniejszością, jak Polska zmieniła się po 1989 roku, a jednocześnie pozostała taka sama. Tam nie dociera wiele filmów pokazujących Polskę współczesną.

Ktoś w Czechach powiedział, że wyczuwa tu klimat z filmów Kieślowskiego. Może przez tę kamienicę, meblościankę z wyciąganym łóżkiem, kostium. Według mnie, to nie jest kino moralnego niepokoju, choć znaleźć tu można „etyczną rozkminkę”, która być może dodatkowo ich zasugerowała. Byłby to wielki komplement, ale jeśli mam być szczerą, sugerowałam się raczej dziełami Polańskiego, bo on robił filmy o ludziach znajdujących się w opresyjnej sytuacji na niewielkiej przestrzeni, na przykład „Lokatora”, którego oglądaliśmy. Polańskim jednak nie jestem, choć bardzo bym chciała. Kieślowskim – tym bardziej. Bardzo różnimy się temperamentem. On był człowiekiem potwornie nieśmiałym. Podobno w Los Angeles liczył mrówki i w ogóle nie wychodził z hotelu. Ja pojechałam surfować.

Nowy film

Niezależna fabuła to była moja odpowiedź na to, że w PISF (Polski Instytut Sztuki Filmowej) nie chcieli mi dać pieniędzy na debiut, ale również w ogóle na to, co dzieje się w polskim przemyśle filmowym. Ciężko to przeżyłam. W Szkole Filmowej jest tak, że idziesz do Filipa Bajona, a on mówi: „Nie rozumiem tego scenariusza, dlatego to zrób. To jest świetne, bo ja tego nie rozumiem, bo ja jestem stary, a ty młoda”. Kiedy wychodzisz ze szkoły i idziesz do PISF, słyszysz: „My tego nie rozumiemy. Musisz to zrobić tak, żebyśmy zrozumieli, wszyscy”. A każdy jest inny więc robi się z tego takie dążenie do średniej. Potem wszyscy chcą to produkować, żeby zarobić na produkcji. Wychodzi z tego ogromny biznes. I już nie czujemy, że robimy sztukę tylko produkt. A na koniec wszyscy oczekują, że skoro to jest debiut, musi być autorski, szczerzy, „z brzucha”. Tego nie da się połączyć. Bardzo się nacięliśmy, bo chcieliśmy dalej robić w tym składzie Kasper – scenarzysta, Zuza – zdjęcia, Julia miała grać główną rolę. Postanowiliśmy więc, że zrobimy film jak „Ostatni dzień lata” Konwickiego, czyli za grosze, z sześciuosobową ekipą, zrobimy go sami i nie będziemy czekać, aż nam ktoś pozwoli. A przy tym bardzo nas dotykał fakt, że Polska nie chce wpuścić uchodźców i o tym miał być nasz film, dlatego nawet nie wypadało nam robić go za miliony. Uzbieraliśmy 26 tysięcy złotych od znajomych, pojechaliśmy busem na granicę macedońsko-grecką i w osiem dni zrobiliśmy fabułę. Film częściowo napisany, częściowo improwizowany. Właśnie go montuję w szkole. Wierzę w niego bardzo.

Teraz siedzę nad scenariuszem, który mam wysłać do Ameryki, piszę pracę magisterską, montuję. Mam też napisany film, którego nie chciał sfinansować PISF. Najważniejsze jednak jest skończenie tego projektu niezależnego. Mam nadzieję, że nastąpi to w grudniu i będzie można go gdzieś pokazać, wysłać. Zaopiekowała się nim Agnieszka Kurzydło z Mental Disorder 4. Ma sfinansować postprodukcję i znaleźć dystrybutora. Myślę, że to nie będzie „Angry Birds”. Mam nadzieję, że przyjdzie paręnaście tysięcy widzów, bo to bardzo slow cinema – mój reżyserski debiut fabularny. Mój i Kaspra Bajona, bo razem odpowiadamy za reżyserię tego filmu.